

Oszubski Tadeusz
Rycerz Gwiazdy Wigilijnej

Z "NF" 3/94

To przeczy naturze i nie znajdziesz w tym śladu mistycznej radości z narodzin Odkupiciela. Spod ciężkiej, szczerozłotej korony, sadzonej ogromnymi perłami nie wymyka się nawet jeden kosmyk. Ani śladu włosów nad tym wysokim czołem - zbyt gładkim i nienaturalnie bladym. To przecież porcelanowa figurka zagadkowego monstrum. Bez krzty życia, o dziwnym kształcie piersi wypływającej z rozsznurowanego dekoltu sukni. Prędeż piersi ladacznicy niż matki! Posąg spoglądający beznamiętnie na obezwładnione smutkiem niemowlę. Zdaje się, że lada chwila wyblakłe, nieludzkie dłonie rozsuna się, pozbawiając dziecko oparcia i żywot Chrystusa zakończy się w miesiąc po Narodzeniu. Do tego jeszcze tło splecione z tłumu aniołów o cynobrowych skrzydłach, ciałach i szatach mahoniowych, chwilami wręcz zdających się przybierać barwy krwi. Dziwnie diabolicznych tworów z twarzami karłów cisnących się wokół tronu niebezpiecznej, oszukańczej Madonny. Od chwili, w której po raz pierwszy ujrzałem ten wizerunek, postrzegałem jego niepokojącą obecność w każdej napotkanej kobiecie.

Gdy z nieskrywaną pasją mówiłem o odrazie, jaką wzbudza we mnie to zdobiące ołtarz malowidło pędzla Jeana Fouqueta, mój mistrz uśmiechał się tylko i z roztargnieniem szeptał: "Francois, jesteś stanowczo zbyt egzaltowanym młodzieńcem".

Być może, nie słuchał mnie zbyt uważnie i treść moich słów nie w pełni do niego docierała. David był wówczas nazbyt zaprzątnięty przenoszeniem na płótno swej drapieżnej wizji śmierci Marata. Trudno przecież zrozumieć takiemu jak ja rzemieślnikowi, wyrobnikowi pędzla, drogi, którymi wędruje myśl artysty; geniuszowi zaś ciężko zniżyć się do topornych wyznań nieudacznika. Jacques Louis David wznosił się na wyżyny i tam, pośród kropli farb nieomylnie pokrywających płótno, na swój sposób obcował z Bogiem. Cóż, ja potrzebowałem do tego długich godzin żarliwej modlitwy. Takiej, jaką ukończyłem właśnie przed chwilą. Srebrny krucyfiks, dar księdza Gobbiusa, był przeraźliwie zimny, gdy składałem na nim pocałunek. Mróz zagnieździł się w poświęconym metalu, promieniował z granitowych gładów wieży.

Uniosłem wzrok ku granatowiejącemu niebu, w poszukiwaniu Gwiazdy Wigilijnej. Gdy rozbłysła - po kwadransie czy też wielu godzinach, naprawdę nie wiem (wśród oślizgłych ścian celi zatraciłem poczucie upływu czasu, a boję się sięgnąć po zegarek) - odetchnąłem z ulgą. Moja ofiara i trud nie poszły na marne. Ona jest znów, tam, na ciemnej oponie nieba! Poczulem na twarzy emanującą z niej światłość. Dotyk

wiekuistej dobroci, dowód Odkupienia. Pośród czarnych zrębów wieńczących basztę ta maleńka plamka światła zdała się ciepłym uśmiechem Boga, a celę, w której spędziłem ostatni rok, zasnuła pożłocista pajęczyna niczym ślad pędzla Rubensa.

Czyżbym miał dostąpić obcowania z wszechogarniającą światłością? Za przyczyną żarliwej modlitwy w błogosławieństwie nadziei wznieść się na trzydzieści łokci ponad znienawidzony mur baszty!? Zerwać niepojętą siłą łańcuch łączący dotąd moją prawą stopę z granitowym głazem w jedną, niezaprzeczną całość? Nie byłbym wyjątkiem. Wszak właśnie w Noc Wigilijną zdarzyło się Katarzynie Colombini lewitować w ekstatycznym zachwycie! Dostąpił tej radości także święty Józef Desa z Copertino, a święty Alfons de Liquori przed zaledwie osiemdziesięcioma dwoma laty w Foggii, podczas kazania, u stóp ołtarza, pod cudownie rozjarzonym obrazem Madonny o Siedmiu Zasłonach lewitował zachwycony wizją Chrystusowych narodzin. Może gorąco i poczucie lekkości, trawiące moje ciało, nie są jedynie śladem dwunastu miesięcy spędzonych w zrujnowanej baszcie służącej miastu Aachen za więzienie? Czyż żarliwość mych modlitw i ogrom znaczenia popełnionego czynu nie mogą dać mi nadziei na cudowne ocalenie?

Nie opuściłem mego mistrza na wygnaniu - mimo całkowitego braku zrozumienia z jego strony. Towarzyszyłem Davidowi aż do dnia jego śmierci i dopiero w końcu 1825 roku wyjechałem z Brukseli. Poddając się woli Opatrzności, po kilku miesiącach pozornie bezcelowej wędrówki trafiłem do Aachen, wprost pod skrzydła dobrotliwego księdza Gobbiusa. Jeden tylko Bóg wie, jak bardzo potrzebowałem w tamtych chwilach pełnego miłości, światłego opiekuna. Znękanymi piekielnymi wizjami, zrywającymi ze snu jeszcze przed świtem, wspomnieniami tryumfów Szatana burzącego Europę stalowo chrześzczącą machiną wojny, dobywającego z ludzkich serc całą, trawiącą je zgniliznę, przerażony mocą zła, wypaczającą człowiecze uczynki, nawet czyny ukochanego Cesarza tak, by urągał Chwale Bożej, szukałem ukojenia pośród rozmów ze świątobliwym starcem i w ciężkiej pracy nad przywróceniem świetności rozpadającemu się kościółkowi pod wezwaniem Dzieciątka Jezus. Pośród kadzideł słów i artyzmu dawnych mistrzów malarskich udawało mi się zapominać o płonących miastach, świątyniach strzaskanych armatnimi kulami, mniszkach gwałconych przez pijanych żołdaków, handlujących szczerozłotymi monstrancjami mającymi dla nich wartość beczułki wina. Zapominałem o twarzach zabitych przeze mnie niemieckich i rosyjskich żołnierzy, o całym świecie... Pory snu i posiłków umykały mi, gdy oddawałem się pieczołowitemu odnawianiu malowidła zdobiącego ołtarz. Spękana, poczerniała farba w irytujący sposób obnażała prostackość słojów dębowej deski. Jakże wiele wysiłku

poświęciłem, by przywrócić zniszczonemu malowidłu świeżość barw. Jednak moje zmagania niweczone były w niepojęty sposób - choć udało mi się rozplomienić karmazyn szaty spowijającej postać Świętego Józefa, rozjarzyć złoto satyny, na której spoczywał maleńki Chrystus, to jednak obraz jął nabierać niepokojącego klimatu. Ascetyczne twarze klęczących pasterzy wyostrzyły swe rysy, przybierając z dnia na dzień wyraz sępiej drapieżności. Rogata głowa ospałego wołu stawała się demonicznym wizerunkiem piekielnej bestii, a uśmiechy niewielkich aniołów unoszących się w gęstym od ultramaryny powietrzu niepokoiły perwersyjną złośliwością. W scenerii i kolorycie obrazu, przypominającego dotąd Adorację Dzieciątka z Ołtarza Bladelin, dzieła genialnego Rogera van der Weyden, uległy dziwnemu zatarciu ślady błogosławionego talentu anonimowego mistrza z Aachen. Jakby mroczna potęga nocy wypaczała to, co za dnia odnowił mój pędzel.

Pewnego listopadowego poranka poraził mnie jadowity, szydarczy uśmiech, który wpelzł na usta Madonny klęczącej nad Dzieciątkiem. W czasie gdy spałem niespokojnie, znużony pracą, z ramion Świętej Matki spłynęła turkusowa szata, obnażając wyzywająco krągłe piersi. Porcelanowe ciało, prężąc się lubieżnie groziło maleńkiej figurce Najświętszego Niemowlęcia. Straszliwa transformacja słodczy Madonny, subtelności Jej rysów w demoniczną wrogość, przypomniała mi odczucia, jakie niegdyś wzbudził we mnie obraz Jeana Fouqueta. Wówczas zrozumiałem, że zastawiono paści na moją duszę. Mało tego! Na dusze całej ludzkości!

Odkrycie perfidnych, szatańskich planów poraziło moją wolę. Dopiero żarliwe modlitwy i długie rozmowy z księdzem Gobbiumem natchnęły mnie wiarą w zwycięstwo. Starzec, ufając mi bezgranicznie, poświęcił wiele nocy na czuwanie u stóp sprofanowanego ołtarza. Dopiero w pierwszą sobotę grudnia dostrzegliśmy dowód działania piekielnych sił, niestrudzenie niweczających moją pracę. Gdy przez wnętrze kościołka przemknęła ciemna postać i niczym burzowa chmura przesłoniła na chwilę malowidło, by rozwiać się w siny dym, zniekształcając przy tym rysy Madonny w jeszcze potworniejszym stopniu, podjęliśmy z księdzem jedyną możliwą - ostateczną decyzję. Nie wahałem się! Dotąd natykałem się jedynie na symptomy działania wrogich sił i nader niejasno przeczuwałem cel szatańskich zabiegów. Czyż pierwszym sygnałem nie był dla mnie zdegenerowany twór przypisywany Jeanowi Fouquetowi? Ta straszliwa scena wzbudzająca we mnie niekłamaną wstręt? Czyżby właśnie ten mistrz przeżył przed czterystu laty nieobcy mi koszmar?

Teraz nareszcie mogłem zmierzyć się ze złem objawionym. Tego domagał się mój honor oficera i prawego chrześcijanina! Nabiłem pistolet srebrną kulą odlaną z poświęconego medalika i odstępując od dalszej pracy nad odnawianiem obrazu, spędzałem wszystkie noce siedząc na ławce, kilka kroków od

ołtarza kościoła Dzieciątka Jezus. Ksiądz Gobbius, mimo podeszłego wieku i wątpliwego zdrowia, towarzyszył mi w czuwaniu, nerwowo zaciskając pergaminowe palce na krucyfiksie. Śpiąc za dnia, a nocie trawiąc na straży w kościele, dotrwaliśmy do dnia Wigilii. Równy z wybiciem godziny osiemnastej w otworze pośrodku uszkodzonego witraża zapłonęła pierwsza gwiazda. Jednocześnie na zakurzoną podłogę świątyni padł gęsty cień. To jakaś mroczna postać sunęła od portyku wejścia, bezszelestnie mijając rzędy ławek.

Powiało przeraźliwym chłodem, przenikającym nie tylko ciało, ale i myśli. Nie wytrzymałem rosnącego napięcia. Wstałem, by zagrozić drogę intruzowi, jednocześnie kierując lufę pistoletu w czarną sylwetkę. W oddali, za moimi plecami, ksiądz Gobbius ochryple śpiewał psalmy, a ja desperacko zbliżyłem się do intruza. Nie wiem, czy spłoszyły go modlitwy starca, obecność krucyfiksów czy też świętość kuli tkwiącej w pistoletowej lufie. W każdym razie szatańska zjawa nagle cofnęła się, po czym umknęła ze świątyni.

Śnieg skrzypiał pod podszewkami, pieśni radujących się z Narodzin Pana wypływały zza rozjaśnionych świecami okien. Pośród tej zadziwiającej muzyki, w przyjaznym blasku gwiazd - wszak jedna z nich powinna być mi godłem! - ścigałem demona ulicami Aachen. Bezskutecznie kilkakrotnie naciskałem na spust. Mechanizm zaciął się. Dopiero gdy dotarliśmy w pobliże rogatek, broń wypaliła, przeszywając poświęconym pociskiem ciało piekielnego emisariusza. Zmaterializowany zły duch runął mi pod nogi niczym kłęb sparcałych szmat. Takiego właśnie, pochylonego nad mrocznym kształtem, błogo uśmiechniętego, z dymiącym jeszcze pistoletem w dłoni, zastał mnie w kwadrans później patrol żandarmów.

W 1826 roku nikt z mieszkańców Aachen nie mógł czuć sympatii do Francuza, a tym bardziej do szalonego, francuskiego malarzyny, który nie dość, że zeszpecił świętokradczo ołtarz starego kościoła, to jeszcze w samą Wigilię Bożego Narodzenia zastrzelił wędrownego mnicha - jałmużnika. Mój proces ciągnął się wiele miesięcy, miał na to wpływ również fakt, że nie znaleziono nikogo, kto by znał zamordowanego franciszkanina - właśnie taki kształt przybrał w swej perfidii ginący emisariusz Szatana! Ksiądz Gobbius, niestety, nie mógł złożyć zeznań oczyszczających mnie z winy, bo po koszmarnych przeżyciach, wrażeniach zbyt silnych dla wątłego starca, doznał ataku i legł bez przytomności na podłodze kościoła. Zmarł w tydzień później, nie mogąc wypowiedzieć w mojej obronie nawet jednego słowa. Sąd w Aachen, po długim wahaniu, skazał mnie na śmierć. Mam zostać stracony za godzinę, dokładnie w rok od chwili popełnienia zbrodni.

Przez szczelinę w murze widzę, jak sylweta smukłej szubienicy i stada zniecierpliwionych, głodnych kruków

czernią całun śniegu spowijający równinę. Pozwolono mi zachować zegarek - nie wiem, czy w odruchu wspaniałomyślności, czy też jako dowód złowieszczej perfidii - śledzę więc szaleńczy bieg wskazówki wlokącej mnie ku śmierci.

Z trudem odrywam się od okrutnego instrumentu, by znów spojrzeć z nadzieją w oko Wigilijnej Gwiazdy. Czuję ogarniającą mnie błogą lekkość, tajemnicze ciepło rozlewające się w sercu. Wszak to dzięki mnie rozbłysła znów Gwiazda Przynosząca Radość! Uratowałem Chrystusa, ocaliłem ludzkość przed utratą możliwości dostąpienia zbawienia! Czyż beze mnie odbyłoby się Misterium Odkupienia?

Moje ciało staje się mgłą przepojoną ogniem miłości; wznoszę się ku czarnej krawędzi baszty - granicy ocalenia mojej duszy.

Tadeusz Oszubski

TADEUSZ OSZUBSKI

Urodził się 13 I 1958 r. w Bydgoszczy. Poeta i prozaik wyróżniany w różnych konkursach, współpracownik Polskiego Radia w Bydgoszczy, także dziennikarz. Pracownik pisma "Kujawy i Pomorze". Ważniejsze publikacje fantastyczne: "Sfora" (1992, Przedświt, powieść), "Mesjasz" (1993, Wyd. "Ceglarski", powieść), "Interregnum" (1992, w antologii "Czarna msza", Rebis, minipowieść). Laureat pierwszej nagrody za powieść "Biała Bestia" w polskiej edycji konkursu Andre Norton Ltd (Poznań 1992). W portfelu powieści: "Twierdza nienawiści" (1988) i "Demony" (1989).

Autor dla znawców i smakoszy - pisze prozę trudną, gęstą, statyczną, pełną obrazów i kulturowych odwołań. Są to właściwie opowiadania-eseje, historyczne mistyfikacje i prowokacje wywiedzione gdzieś od Borgesa (Pąckińskiego), a stylistycznym nieumiarkowaniem przypominające trochę Maszyczszyna (Marqueza?). Żywiołem Oszubskiego są tajemnicze momenty, węzłowe sytuacje, rekwizyty i sekretne prawidłowości historii. Tomek Kołodziejczak stwierdził na Polconie '93, że gdybyśmy przedstawili Oszubskiego w "NF" - sławą, z uwagi na zasięg pisma, dorównywałaby dziś Sapkowskiemu. Z zaciekawieniem podejmuję taki eksperyment; przedtem nie drukowaliśmy T.O., bo autor nam swoich tekstów, o ile pamiętam, nie proponował. Prezentowany "Rycerz Gwiazdy Wigilijnej" (i ciut dłuższe opowiadanie "Głowa Heleny", które na razie zatrzymuję w teczce), zdobyły wyróżnienie w Konkursie Literackim im. Stefana Themersona (Płock '93).

(mp)